

Rozdział 1

Niebo zasnutę było obłokami o poszarpanych brzegach, a między nimi pobłyskiwały nikle jeszcze gwiazdy. Zmrok stawał się coraz gęstszy, tak że z trudem można było rozróżnić liście drzew, którymi cichutko szeleścił wiatr. Puszczą tętniła wieczornym życiem... Gdzieniedzie wyły wilki, łopotwały skrzydła nocnych ptaków, w kępach sitowia kumkały żaby, szumiała rzeka.

Po chwili dały się słyszeć przyciszone rozmowy, stukot końskich kopyt, trzeszczenie drewnianych kół na nierównej leśnej drodze. Orszak, który przemierzał las, był niewielki, zaledwie pięć wozów mocno obładowanych i paru konnych. Nagle zahukała sowa.

– Zły to znak – mruknął jadący na przedzie stary rycerz i przeżegnał się.

Tabor posuwał się niespiesznie. Zdawać by się mogło, że mgła, która przykrywała puszcze, pęta również nogi koniom, już i tak wystarczająco zmęczonym. Drzewa zaczęły się przeredzać.

– Jest polana! – krzyknął radośnie młodszy szlachcic. – Tu staniem, konie już bardzo zdrożone... – I odwróciwszy się na siodle, krzyknął w stronę nadciągających wozów: – Tu

będziem nocować! Sławko, i ty tam! Rozkulbaczać konie!
Mirek i Rostek niech szykują wieczerzę! A wartko!

Polana ożyła. Na środku zapłonęło ognisko, konie par-
skały nad worami z owsem, zapachniało pieczone mięso. Wy-
stawiono warty. Pachołkowie dotąd zbici w gromadkę, po-
wyciągali się z ulgą przy ognisku i rozmawiali przyciszonymi
głosami. Rycerze z kubkami piwa siedzieli opodal na skórach.

– Da Bóg, stryju, niezadługo będziem w Krzesławcu –
odezwał się młody.

– Jutro – potwierdził stary i przytknął kubek do ust.

– Ino nie wszyscy – westchnął po chwili młodszy.

– Prawda, zostali stary Zbigniew, Stanisław, Jaśko... –
Stary wytarł wąsy wierzchem wielkiej dłoni.

– Mściwój... A ilu dobrych parobków przepadło...

– Nie gadaj, Bartosz, takich rzeczy. Toć wiadomo, wojna
– starszy wzruszył ramionami. – Męska to rzecz wojna i mę-
ska rzecz na niej ginąć – powiedział dobitnie.

– Dobrze wam tak, stryjcu, prawić, bo nie was te pogany
ubiły – prychnął Bartosz.

– Wojna to wojna – powtórzył twardo jego towarzysz.

– Ej, dorzućta do ognia! – krzyknął w stronę pachołków, a do
Bartosza rzekł: – Smutno wracać doma, gdy inni tam zostali,
ale nie żal umierać na takiej wojnie. – Ożywił się niespodziewa-
nie: – Toć ta wiktoryja ponoć i Wiedeń uratowała, pogaństwo
ukróciła, a narodowi naszemu chwałę zjednała wieczystą...

– Pewnikiem tak jest, jak rzekliście, stryju – odezwał się
już raźniej młody.

– Teraz wrócisz do żonki Barbary, a jak Bóg da – i do syna.

– Oby tak było! – Zmęczoną twarz mówiącego rozjaśnił
uśmiech.

– Będzie! – powiedział z mocą. – Żoncy piękne podarki wieziesz... Wawrzek! Podaj z tego wozu, co to nim Szymon jeździ, rzeźbiony sepecik pana Bartosza.

– Ten rzeźbiony? – powtórzył wielki chłopak, ospale podnosząc się z ziemi.

– Ten, gamoniu, przecie mówiłem! – odkrzyknął rycerz i dodał ciszej: – Tyłu parobków na schwał ubito, a ten gamoń ostał. Wiele zacnych rzeczy wieziem... – zaczął stary, podczas gdy z wozu słychać było posapywanie Wawrzka i przesuwanie jakichś ciężkich przedmiotów – ...ale i wybierać było w czym. Toż ten obóz Turków pode samym Wiedniem pełen złota, koni i onych dziwnych zwierząt...

– Wielbłądów – podsunął Bartosz.

– A te śliczne namioty – zachwycił się stary – bogate, piękne i zbyt kowne...

– Powiadali nasi, jakoby Turcy mieli w onych namiotach wanny i łaźnie – wysapał Wawrzek, stając w świetle ogniska. – Tu postawić, panie? – spytał i dla wygody oparł skrzynię na brzuchu.

– A tyżeś, gamoniu, myślał, że będziem ognisko tym palić? No, idź już, idź! – powiedział z widocznym zniecierpliwieniem stary szlachcic, bo chłopak nadal stał przy nich i z bezmyślnym wyrazem twarzy zawzięcie drapał się po skołtunionej głowie.

Wawrzek wrócił na swoje miejsce, a rycerze przysunęli się bliżej ognia.

– Pięć wozów pełnych srebrnych naczyń, szkatuły pieniędzy, sukno srebrem i złotem szyte... A co tylko tkniesz, to wszystko specyjał. A owe klejnoty, a rzędy dłonią pierwszych mistrzów dekorowane, a te pełne zbroje albo ten pancerz zło-

cisty nabijany drogimi kamieniami... – wyliczał rozmarzonym głosem stary rycerz. – Dużo bogactwa wieziem. Można będzie dokupić ziemi.

Bartosz z uwagą słuchał słów stryja, przytakując od czasu do czasu. Przykleknął i misternie rzeźbionym kluczykiem, który wydobył z małej sakiewki przytroczonej do pasa, otworzył skrzynię przyniesioną przez Wawrzka.

– Piękne to rzeczy – westchnął. – Słuszny gościniec dla żony mojej... Część z nich i dla siostry. A to dla syna – Bartosz podał staremu jakiś przedmiot zawinięty w kawałek jedwabiu.

Szlachcic rozwinął zawiniątko i w blasku ogniska coś za-błyszczało.

– Andżar... – powiedział ze zdumieniem. – Toż to twój syn mniejszy od niego.

– Podrośnie – uśmiechnął się Bartosz. – Onczas mu się nada. – Przeciągnął palcami po rękojęści ozdobionej wielkim niebieskim kamieniem.

– Wiesz, co ja bym chciał? – spytał naraz stary. – Obrzydła mi już ta żołnierska strawa... Jak wrócę doma, zjem żuru i...

– Oj, panie! – krzyknął Wawrzek, który siedział opodal i przysłuchiwał się rozmowie rycerzy. – Toć to prawda. Ja już nie mogę na to szkaradne mięsiwo patrzeć. Sporą michę zacierek na mleku tobym zjadł.

Stary rycerz gruchnął śmiechem na te słowa.

– I zjesz. Jutro. A ty, Mirko, pojedziesz wcześniej doma i rzekniesz pani, iż już jedziem... – polecił Bartosz. – I niech szykują ucztę.



Do ciemnej ściany lasu przytulił się dwór otoczony podwójnym częstokołem z ociosanych dębowych pali. Ostrokół u dołu wzmocniono wałem ziemi. Okna dworu miały kraty, a drzwi wejściowe były z grubych dębowych desek.

Cały dwór z obejściem wydawał się solidny i bezpieczny. Wrażenie to potęgowała dodatkowo baszta wysoka na osiem sążni ze strzelnicą o sześciu oknach na szczycie. Z okna strzelnicy machał teraz radośnie Mirko.

Mocna brama, strzegąca podwórza, pilnowana przez wrotnych, otwarta teraz była na oścież. Mirko pospieszył z wiadomością i teraz już wszyscy oczekiwali przybywających.

Nim rycerze zdążyli wjechać na podwórze, od grupki osób stojących przy dworze oderwała się smukła postać i przyciskając do piersi białe zawiniątko, zaczęła biec w ich kierunku. Bartosz ciężko zeskoczył z konia i już po chwili tulił w ramionach płaczącą żonę i nowo narodzonego synka.

Objęci podeszli do stojącego na ganku starego, siwego mężczyzny wspartego na grubej lasce i ramieniu pucółowatego pacholka.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – powiedział głośno i wyraźnie Bartosz, a następnie ucałował starca w rękę.

– Na wieki, na wieki – odparł trzęsącym się głosem. – To Stanko?

– Nie, jam syn jego, Bartosz.

– A Stanko gdzie?

– Ociec nie żyją od czterech років! – huknął Bartosz.

– Stanko, Stanko, witaj doma... – mówił niewyraźnie starzec – a doma, to...

– Dziadzio już mocno wiekowy – szepnęła cichutko stojąca obok dziewczyna z grubym czarnym warkoczem zwieszającym się aż do kolan. – Coraz z nim gorzej – westchnęła.

– Marynia! Siostró miła! – krzyknął radośnie młody rycerz. – Toż my się musim przywitać.

– Pierwej ja! – zagrzmiął stryj. – Dyc to moja ukochana córa krzestna...

Wesoło rozmawiając, zniknęli za drzwiami i przez sień zdobną w broń i sieci myśliwskie przeszli do obszernej komnaty. Wielkie okno uczynione z małych kawałków zielonego szkła wpuszczało przytłumione światło, murowany piec w rogu dawał przyjemne ciepło.

Sciany, od malowanego pułapu do podłogi z prostych desek, przystrojone były makatami, kobiercami i kilimami. Przy nich stały ławy zarzucone skórą, a opodał rozmaite skrzynie i kufry. Mosiężny świecznik zwiisał z powały.

Wnętrze było przytulne, sprawiało wrażenie dostatku, a nawet zbytku... A stoły, które zajmowały honorowe miejsce w komnacie, dosłownie ugięły się pod ciężarem potraw.

– Ha! – zakrzyknął stryj. – Toć to prawdziwa uczta... – dodał, przyglądając się stołom.

– Trzeba godnie przywitać... – zaszemrała Marynia i uśmiechnęła się nieśmiało.

– I kapłony, i schab, i kiełbasy – wyliczał stary szlachcic, siadając na ławie – a wszystko to pieprzne i korzenne. Nie dla mnie takowe frykasy... – rzekł naraz przytomnie starzec. – Zębów ni mom, jeno mogę wachać i patrzeć... – westchnął.

– Nie gadajcie po próżnicy, jeno rzeknijcie, jak wam tam było – odezwała się prosząco Barbara i usiadła przy mężu, kołyszając w ramionach synka.

– A wiedzieć bym chciała... – szepnęła naraz Marynia i umilkła spłoszona.

– Co zaś?

– Czy wszyscy wrócili? Czy wszyscy nasi somsiedzi?

– Nie. – Bartosz smutno zwiesił głowę. – Pode Wiedniem został Dudziński...

– Andrzej! – krzyknęła Marynia, przyciskając kurczowo dłoń do piersi, i zdawało się, że zaraz zemdleje.

– Nie. Brat jego, Stanisław.

– Chwała Najwyższemu – szepnęła cichutko Marynia.

– Żałość to straszna – powiedziała półgłosem Barbara. – Dyc ta ich dziewczuszka, ta Helenka, tera sierotą ostała. Wpierw matka ją odumarła, a tera oćca ubili.

W izbie zaległa cisza. Wszyscy myśleli o tych, którzy nie wrócili do swoich bliskich, o mogiłach pozostałych na obcej ziemi.

– Toć my się radujmy – pierwszy ciszę przerwał stryj. – My są, panu Bogu dziękować, doma. I Andrzej Dudziński – szepnął w stronę Maryni, której policzki pokryły rumieńce.

Długo trwała uczta. Trzeba było opowiedzieć sobie, co działo się przez te długie dni, pełne niepewności i troski o najbliższych, podziwiać synka, który cały czas spał spokojnie w ramionach matki, i wybrać dla niego imię.

– Może Kacper? – zaproponowała nieśmiało Marynia. – Jako nasz pradziad, co takowe imię nosił.

– Niech będzie i Kacper! – rozjaśnił się Bartosz i popatrzył pytająco na żonę, która przytaknęła z uśmiechem.

– Rzeknijcie cosik, stryju, o tym waszym wojowaniu – odezwała się w pewnej chwili Barbara. – Toć z was miły gawędziarz.

Stary szlachcic wypił z widoczną przyjemnością kubek miodu, otarł płowe wąsy i zaczął mówić.

Dawno już ciemno zrobiło się za oknami, a stryj nadal opowiadał. Bartosz od czasu do czasu dodawał coś od siebie, częściej jednak tylko kiwał głową i przyglądał się żonie.

– A opowiedzcie, stryju, tera o tym somsiedzie... – szepnęła Marynia.

– O tym? O tym, co to wiem od swego oóca?

– Tak.

Stryj znowu sięgnął po kubek miodu, oparł się wygodnie o ścianę i zaczął opowiadać:

– Ociec miał somsiada, chudzinę, ale o górnej fantazyi, a ów somsiad, szlachcic, starał się, coby wszyscy myśleli, że on jest bogaty. I tak, gdy jechał do kogoś z wizytą, to kazał do kolebki, co mu jeszcze po oócu się ostała, zaprzęgać konia. A była to szkapina mizerna. No i ową kolebkę niedaleko dworu zatrzymywał, gdzie się w gości wybierał, konia wyprzęgał, pachółka na nim sadzał, któren miał zapowiedzieć, że jego pan w gościnę tu zdąza... – Stryj lękął znowu miodu. – Co to ja rzekłem na ostatku?

– O pachółku – przypomniał, śmiejąc się, Bartosz.

– Gdy pachółek wracał z owej misyi, konia do kolebki zaprzęgano i jegomość somsiad na podwórze zajeżdżał... A razu pewnego do mego oóca pachółek zajeżdza i swego pana anonsuje, właśnie owego szlachcica chudzinę. Ociec był człek dowcipu bystrego i figlarz. Skądś znał ów sekret. Tak pachółka winem częstował, że go do nieprzytomności spoił. Podczas gdy kurjer somsiada winko w ciepłej izbie pił, jego pan w polu zły i głodny daremnie go czekał... Wieczorem zawstydzony, pieszo, swoją szabelką się podpierając, pojawił się w domu oóca mego – zakończył, wybuchając śmiechem.

– Z tego wszystkiego to my o podarkach zabaczyli! – wykrzyknął Bartosz. – Wawrzek!

– Oni tam nie słyszą, bo gwarno u nich a huczno! – odezwał się stryj.

– Pewnikiem, toż tam mają ucztę niezgorszą – przytaknął Bartosz. Wstał, podszedł do drzwi i przez sień krzyknął w stronę części czeladnej: – Wawrzek! A migiem tu!

Drzwi otworzyły się i wbiegł chłopak.

– A co, panie?

– Przynies tu ten sepecik rzeźbiony, com go wczoraj oglądał na polanie... Czekał. A gdzie rzeczy z wozów?

– Złożył je na pięterku, tak jak pan Zbigniew kazali...

– Prawda, bieżaj po ten sepecik.

– O, cóż to za cuda! – klasnęła w ręce Barbara, gdy Bartosz podniósł wieko.

Nawet policzki bladej Maryni zaróżowiły się na ten widok. Kobiety usiadły na ławie przy skrzyni i podziwiałały klejnoty.

– Jakież cudny pas! – zakrzyknęła Barbara i oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

– A manele, zausznice... – nie mogła się nadziwić Marynia i po krótkim wahaniu przypięła sobie wielką srebrną broszę do ciemnej sukni. – Toż to dobro nieprzebrane... I wszystko dla ciebie – szepnęła Marynia, odpinając ozdobę.

– O nie... – włączył się Bartosz. – Cały ten sepecik to nasz gościniec dla obu niewiast.

– Jedna rzecz chyba tu nie dla nas – powiedziała zdumiona Barbara i pokazała nóż, który wydobyla z kuferka.

– Nie – zaśmiał się Bartosz – to dla syna...

– Dla Kacpra. Toż z niego już niedługo będzie chłopak na schwał! – zawołał stryj i uniósł kielich. – Zdrowie Kacpra i nasze, że my są znowu doma!!!

Rozdział 2

Mieliśmy iść z Kajtkiem na ryby. My, to znaczy ja i mój starszy brat Krzysiek. Kajtek był moim najbliższym kolegą. W szkole słynął z najbardziej odstających uszu, jakie kiedykolwiek świat widział, śmiesznych koszulek, to znaczy nie tyle samych koszulek, co koszulkowych napisów, będących dziełem Kajtkowych rąk, oraz czarnej, zwariowanej czupryny, której nie zmogła żadna szczotka czy grzebień. Panie nauczycielki przestały już nawet zwracać mu uwagę i pytać, kiedy wybierze się do fryzjera i zacznie wyglądać po ludzku. Kajtek, jego uszy i ja zajmowaliśmy ławkę pod oknem. To, co można było przez nie zobaczyć, oddawało nam nieocenione usługi na lekcjach, które nas nudziły. A teraz, gdy wakacje zbliżały się wielkimi krokami, lekcje w większości stały się dla nas, mówiąc delikatnie, nieciekawe.

Jak wspominałam, szykowaliśmy się na wędkowanie. Krzysiek nakopał robaków za stodołą sąsiada i zabrał tacie jego ulubioną wędkę z kołowrotkiem, o której tata mówił, że łapy poobrywa, jak ją ktoś ruszy. Ja wzięłam przygotowane raniutko kanapki, soki w kartonikach i butelkę mineralnej i wyszliśmy oknem z dużego pokoju, by nie rzucać się za bardzo w oczy rodzicom, siedzącym akurat na ławce w ogród-

ku. Mamie – z powodu wędliny, która miała być dla gości zaproszonych na dzisiejszy wieczór, a tacie – za ową wędkę. To wędkowanie, a właściwie jego rezultaty, których byliśmy bardziej niż pewni, miało być niespodzianką dla rodziców, i stąd ta cała tajemniczość.

Krzysiek właściwie miał trochę swojego sprzętu wędkarskiego, ale, pozał się Boże, jakiego! Jego bambusówka przypominała wszystko, tylko nie wędkę. Krzyś był obrażony na cały świat za to, że ma takiego „dziada”, jak ją nazywał. A obraził się jeszcze dodatkowo, gdy tata kupił sobie wędkę – marzenie. Wiem, że bardzo drogą i że wzbudzała masę ochów i achów ze strony mojego obrażonego brata. Dla ścisłości należy dodać, że Krzyś miał jedną porządną wędkę aż do momentu, gdy po przeczytaniu *Trylogii* chłopcy z jego klasy zostali opętani manią pojedynekowania się. Na kije, na patyki, co tam komu wpadło w rękę, a nasz Krzyś to nawet walczył na wędki z Romkiem, kolegą z klasy.

Romek wygrał pojedynek i Krzysiek miał zostać więty do niewoli, ale nie chciał oddać broni-wędki. Pamiętając Sienkiewiczowskie książki i filmy o szlachcicach łamiących szable na kolanie, zrobił coś, co później tata nazwał niemożliwym. Złamał wędkę! Ale nie od razu. Najpierw stoczył z nią pojedynek. Ponoć Romek, oglądając tę scenę, miał oczy wielkości średnich talerzyków deserowych. Krzysiek, opętany jakimś szałem, walczył z własną wędką, mruczając do siebie:

– Do niewoli dobrze, ale wrogowi broni nie oddam...
Wolę ją zniszczyć...

Romek opowiadał potem, że mój mądry brat próbował złamać ją na kolanie, tłukł o kamienie, że prawie zawiązał ją w supeł. Wędka walczyła dzielnie. Wyginała się, a w pewnej

chwili postanowiła udusić Krzyśka... Zaczaiła się, poczekała na dogodny moment i w jakiś tajemniczy sposób oplotła mu szyję. Romkowi wydawało się, że to wędka nie chciała oddać Krzyśka, a nie Krzyś jej.

– Dopiero wtedy zobaczyłem, jak bardzo elastyczne mogą być wędki – mówił później Romek. – Ale tę walkę wygrał Krzysiek. Jakoś udało mu się zdjąć ją w końcu z szyi i złamać.

Tak jak wspomniałam, wyrzutów sumienia raczej nie mieliśmy. Kajtek mówił ongiś, że zna miejsce, w którym ryby są wielkości smoków. Doszliśmy z Krzyśkiem do wniosku, że nałapiemy ich tam dużo, co według Kajtka nie miało stanowić żadnego problemu. Damy je rodzicom, a oni przyrządzą pyszną rybną kolację dla gości. My będziemy mieć frajdę, rodzice wspomnianą niespodziankę, a goście smażone ryby.

Udało nam się wymknąć z domu bez większego problemu. Problem pojawił się dopiero w lasku, w którym miał czekać na nas Kajtek. Po prostu go nie było. To znaczy Kajtka, a nie lasku.

Usiedliśmy w cieniu, tęsknie spoglądając na soki i wodę. Żar był niemiłosierny. Siedzieliśmy na umówionej polanie, czekając na Kajtka. Trochę zrzędy nam miny, bo nie braliśmy pod uwagę powrotu do domu bez ryb. Krzysiek mruczał coś do siebie i drapał się w głowę, co, jak twierdził, było oznaką głębokich przemyśliwań. To drapanie się po jasnych kudełkach towarzyszyło mu również podczas zdenerwowania, zakłopotania, roztargnienia, radości czy złości. Mówiąc krótko, ja nazywałam to tikiem nerwowym, a nie oznaką ogromnej pracy szarych komórek mojego starszego brata. Podzieliłam się onegdaj z nim tym spostrzeżeniem, na co Krzysiek oczywiście podrapał się w czubek głowy, a następnie odparł sło-

dziutkim głosikiem, że jest to możliwe, bo skoro jego siostra co minutę poprawia okulary na nosie, to i jemu mogło się coś takiego udzielić. Rozmyślenia przerwał mi głos Krzyśka:

– Ja idę na te ryby. Jak chcesz, to zostań albo idź do Zo-
chy. W razie czego powiesz, że byłaś u niej. Najwyżej tylko ja
oberwę – dodał dzielnie.

– Coś ty! – Zerwałam się z trawy, zrzucając spacerującą
po mojej nodze mrówkę, której przyglądałam się od pewne-
go czasu. – Ja też idę.

– No to w drogę.

Po jakichś czterdziestu minutach zziądani, zdyszani, po-
parzeni pokrzywami zsuwaliśmy się ze skarpy nad rzekę.
Było to nasze ulubione miejsce, osłonięte ze wszystkich stron
krzakami i rachitycznymi drzewami. Miało jeden mały mi-
nus – właściwie nie było tu ryb. Kajtek chciał nam pokazać
nowe miejsce, z którego, jak mówił, ryby wypychają się na
brzeg, bo jest ich tak dużo. No, ale Kajtek nie przyszedł. Mu-
sieliśmy radzić sobie sami...

Krzysiek założył robaka na haczyk, ja poplułam na to
z zamkniętymi oczyma, żeby szczęście dopisało, i zarzucił
wędkę. Czekamy. Nic, nic, nic. Szczytówka nawet nie drgnę-
ła. Na tle nieba wyglądała jak wymalowana czarna kreseczka.
Posiedziałam jeszcze trochę z Krzyśkiem dla towarzystwa.
Znowu wielkie nic.

Zrezygnowana poczłapałam brzegiem rzeki, przygląda-
jąc się kamieniom pod nogami. Znalazłam płasciutki, wprost
wymarzony, by puścić nim kaczkę. Schylona rzuciłam. Pięć
razy odbił się od tafli wody. Pogratulować sobie nie zdążyłam,
bo usłyszałam zduszony głos Krzyśka:

– Ty tam! Kaśka! Szajba ci odbiła? Cicho tu ma być! Ryby chcesz wypłoszyć?

– Jakie ryby? Nie ma tu żadnych ryb i nigdy nie było.

Obrażona poszłam dalej. Naraz coś zaniebieszczyło pod moimi stopami.

– Szkło – powiedziałam do siebie półgłosem i ruszyłam dalej. Postanowiłam dojść do starego dębu. – Ale aż tak mocno niebieskie? – Zawróciłam i przyklekłam na wilgotnym piasku.

Między kamieniami rzeczywiście coś pobłyskiwało na niebiesko. Chciałam wziąć to do domu i położyć na parapecie między doniczkami z kwiatami. Zaczęłam wygrzebywać szkiełko. Zdarłam skórę z palca, więc dałam temu na razie spokój. Rozglądałam się za jakimś patykiem. Nieopodal mojej nogi leżał złamany gruby kij. Nadawał się znakomicie. Zaczęłam nim dziobać w ziemi. Zasapana wydziobałam parę kamieni, jakieś robaki, które bardzo szybko uciekły, szybciej niż ja, gdy je ujrzałam, i na końcu „to coś” niebieskiego.

„To coś” nie było szkiełkiem ani kamieniem. Umyłam je z grubsza w rzece i zaczęłam zastanawiać się, czym wytrzeć. Pomyślałam, że spódnice, którymi gardziłam całą duszą, nie są może całkiem bez sensu, bo na przykład mogłabym wykorzystać brzeg takowej, a teraz do tego celu musiała posłużyć mi koszulka, bo krótkie spodenki zdecydowanie się nie nadawały. Obejrzałam raz jeszcze swoje znalezisko. Niebieskie, fakt. Bardzo lekkie. Przezrzyste, ale nie jak szkło. Miało w sobie ciemniejsze smugi i jakby drobniutkie, drobniutkie kropelki ni to wody, ni to powietrza. Cokolwiek to było, było bardzo ładne.

Postanowiłam wrócić do Krzyśka i pokazać mu moje znalezisko. Wracając, obracałam w ręku kamyk, bo tak sobie „to coś” nazwałam, i myślałam, że jak Krzysiek nic nie złapie, awantura w domu gotowa. Doszłam do wniosku, że uratuje nas jedynie siata pełna ryb, które powinien złowić mój brat – w końcu to był jego pomysł.

Naraz usłyszałam wrzask:

– Kaśka! Chodź tu szybko! Mam rybę! O rany, jaka wielka...

Poklusowałam do Krzyśka. Ładował właśnie dużą rybę do siatki, którą następnie wsadził do rzeki i przymocował kijem do brzegu. Z niedowierzaniem patrzyłam na brata wędkarza.

– Naprawdę to nasza? Złowiłeś ją? Tak szybko? Jest taka duża... – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– Nie, kupiłem. W spożywczym, na metry – wyjaśnił, kiwając przy tym z politowaniem głową. Założył robaka na haczyk i podsunął mi pod nos. – Pluj, może to jednak pomogło.

Byłam tak przejęta, że aż usiadłam na kocu. Napiłam się soku, bo woda w tajemniczy sposób wyparowała, i sięgnęłam po kanapkę. Na moje ciche pytanie, co stało się z wodą, usłyszałam, że ja łażę, gdzie chcę, a mój biedny brat, jak ten głupi, stoi na słońcu w wodzie po kolana, więc mogło mu się chcieć pić.

– Ale czemu od razu całą dwulitrową butelkę? – spytałam ze zgrozą.

Krzysiek nie zdążył odpowiedzieć, bo wędka w jego ręku zamieniła się w czarnego, błyszczącego węża. Wyginała się, Krzysiek mocował się z nią, a ja dopingowałam z brzegu, w jednej ręce trzymając zaczętą kanapkę, a w drugiej swój kamyk.

– He, he, he, coś mi to przypomina... – rechotałam. – Tylko nie oddawaj broni – radziłam Krzyškowi, który szamotał się z wędką i z rybą. – Spróbuj związać ją w supeł – kpiłam – jak w ostatniej walce...

Ale zaraz się przestraszyłam. Bo gdyby wędka się zepsuła, a, nie daj Boże, złamała, to marny nasz los. Dlatego od razu przestałam mu dokuczać. Zresztą Krzysiek i tak nie przejmował się moim gadaniem.

– Tylko jej nie złam... – poprosiłam. – Tata by się rozchorował, a wcześniej cię sprął.

– Cicho. Ona jest duża i bardzo silna.

– Chyba długa.

– Nie wiem, czy długa, bo nie widzę.

– To co, na oczy ci się rzuciło? – spytałam zdumiona.

– Mnie nie. Ale jak ty masz taki sokoli wzrok, to tylko pozazdrościć...

– Co ci jest? Przecież mówiłeś, że ma ponad dwa metry...

– Oj, babo, babo... Tak, i dodałem jeszcze, że nazywa się Moby Dick.

– Jaki mobi dik? – Byłam już zupełnie skołowana. – Biedny Krzyś, nie dość, że niedowidzi, to jeszcze przygłupi.

– No, biały wieloryb – wysapał.

– To po coś mi mówił, że „ABU”, że węglówka i że ma ponad dwa metry? – Byłam bardzo rozżalona.

– O rany... przepraszam. Mówiłem, że ryba jest silna, bo to chyba brzana, a ty paplałaś o wędce.

Ryba była rzeczywiście bardzo mocna. Rwała pod prąd jak dzika. Krzyś to popuszczał żyłkę z kołowrotka, który ci-chutko terkotał, to znowu zwijał ją, kręcąc srebrzystą rączką, aż mieniło się w oczach.

– To jest brzana, tak jak myślałam. Tata opowiadał, że kiedyś próbował doholować brzanę do brzegu i walczył z nią ponad pół godziny...

Myśl, że wędka, chociaż węglówka, będzie tak wyginać się jeszcze przez trzydzieści minut, podłamała mnie. O rany – myślałam – niechże on już wyciągnie ją na brzeg i włada do siaty... I jak na zamówienie ryba przestała walczyć, i Krzys bez problemu, ale za to z głupią miną, ściągnął ją do brzegu. Stałam z wytrzeszczonymi oczami.

– Co tak patrzysz? – spytał.

Zmierzył rybę, przykładając ją do wędziska z zaznaczoną podziałką. W dalszym ciągu nie byłam w stanie wymówić słowa.

– Czterdzieści siedem centymetrów – powiedział z triumfem – a wymiar ochronny jest trzydzieści pięć.

– A co to za ryb jest w siatce?

– Tamten ryb to kleń. – Krzys też ją zmierzył. – Czterdzieści centymetrów.

Wchlupał ryby z powrotem do siatki, siatkę do rzeki, następnie podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i zaczął pałaszować kanapkę, którą wyjął mi z ręki.

– Są przecież jeszcze w plecaku – powiedziałam cicho.

– To dobrze, bo jestem bardzo głodny. Jak to po walce... – zachichotał. – Ty widziałaś, jak ona gwałtownie się uspokoiła? Jakby dostała czymś w łeb i już nie sprawiała żadnego kłopotu. – Kręcił głową z niedowierzaniem, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co stało się przed chwilą. – A co masz w ręku? – zainteresował się.

– Takie kamykoszkiełko. Ładne, nie?

– Ładne.

– Będziesz jeszcze łowił? – spytałam nieśmiało mojego brata, który, nie da się ukryć, urósł w moich oczach, a w tej chwili zajęty był wykańczaniem wałówki.

– Jasne – odparł z pełnymi ustami – tylko odpocznę.

Po raz trzeci naplułam na haczyk. Zjadając resztki naszych zapasów i oglądając kamyk, pomyślałam, że dzisiejszy dzień jest bardzo fajny i że chciałabym, aby Krzysiovi udało się złowić jeszcze jedną rybę... Po chwili patrzyłam, jak mój brat wędkarz holuje do brzegu kolejną ofiarę.

– Brzana. Ta też nie walczyła. Ciągnąłem ją jak starego kaptcia, coś dziwnego dzieje się z tymi rybami. Muszę zapytać tatę, jak to jest naprawdę z bojowymi brzanami.

– Zbieramy się do domu?

– Myślę, że tak. Nie ma co kusić losu. Ale woda w usta – popatrzył na mnie groźnie – żadne opowiadanie Zosi, Magdzie czy Ance o tym miejscu. Słyszysz, babo? Ty powiesz Zosi, ona w wielkiej tajemnicy bratu, a brat koledze i tak dalej. A jak tu przyjdziemy następnym razem, to nawet nie będzie miejsca, by popatrzeć na rzekę.

Do domu wróciliśmy inną drogą, nadkładając spory kawałek, by zmylić tropy, jak powiedział szeptem Krzysiek. W pewnym momencie klucząc po lesie, przedzierając się przez pokrzywy i krzaki, jak gdyby zależało od tego nasze życie, Krzys – już nie tylko wędkarz, ale i Indianin w jednej osobie – zaproponował, byśmy zaczęli się czołgać. Zbuntowałam się i popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Wysłuchaj mnie, mój biały bracie. To, że są ludzie nad rzeką, nie oznacza, że chcą cię ograbić z ryb albo na mękach przy palu męczarni wydusić z ciebie informację o miejscu, gdzie je złowiłeś. *Hough.*

– Masz rację, trochę mnie poniosło – przyznał łaskawie.

W przyptywie dobroci pozwolił mi nieść siatkę z rybami, sam wziął plecak i kamyk, któremu chciał się przyjrzeć. Coraz częściej popatrywał na ryby, na zegarek i w końcu wydedukował:

– Wiesz, jednak mogą być problemy. Obawiam się, że rodzice zauważą, jak zjawimy się z wędką taty.

– Ale i z tym – dodałam, podnosząc siatkę na wysokość ramion, co wzbudziło niekłamany zachwyt u osób, które właśnie mijaliśmy.

– No i z rybami, ale za wędkę mogę najpierw oberwać.

– Nie mówiłeś tego rano. Mieliśmy wrócić do domu bez problemu...

– Niby tak – bąknął i naraz wypalił: – Najfajniej by było, gdyby mama ucieszyła się z ryb i zapomniała o szynce – popatrzył na mnie wymownie – a tata pytał o ryby, przynęty i zapomniał, że nie pozwolił mi ruszać wędkę. Może wtedy pokazałbym mu moje rybne miejsce... – Tak się rozmarzył, że omal nie wylądował w pokrzywach, potykając się o kamienie na ścieżce.

– ...byśmy i nasze – uściśliłam.

– Co?

– Pokazałibyśmy, a nie pokazałbyś. I nasze, a nie twoje. W końcu to ja plułam na te robaki.

– Dobra, dobra. Teraz przybieramy miny pod tytułem „Nic się nie stało” i wkraczamy godnie do domu.



W ogródku bawił się nasz sąsiad – czteroletni Łukaszek. Zajęty był właśnie zakopywaniem swojej żółtej piłeczki. W tym celu wykopał całkiem pokaźną dziurę na samym środku trawnika. I to czym? Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom.

– To jest przecież łyżka do butów – oznajmił bardzo zdziwiony Krzysiek.

– I to ta nasza, która gdzieś się zapodziała. Możemy powiedzieć mamie, że łyżka się znalazła.

– Ale jak jest Łukaszek, to znaczy, że jest jego ciocia, pani Renata – wydedukował genialnie. – To dobrze, może wszystko rozejdzie się po kościach.

– Miejmy nadzieję.

Oddałam Krzyškowi siatkę z jego zdobyczą, wzięłam plecak, kamyk i ruszyłam w stronę domu. Przed nami potupał Łukaszek. Krzysiek zatrzymał się w drzwiach, bo coś tam jeszcze majstrował przy wędce. Nie zdążyłam wejść, gdy Łukaszka powitał okrzyk jego cioci.

– Dziecko kochane, Łukašku, oć na rączki. Mój ty skalbusiu.

To było normalne u pani Renaty, ale zamarłam po okrzyku mamy:

– Kasiu, córeczko! Czy jest z tobą Krzyś? Tak bardzo się denerwowałam, że będziecie głodni. W końcu to cały dzień poza domem...

W tym momencie popchnął mnie wchodzący Krzysiek, tak że reszty wysłuchaliśmy już razem, kopiąc się wzajemnie po kostkach. Nie delikatnie, ale dyskretnie. I właśnie wtedy do kuchni wszedł tata, ubrany w wytarte dżinsy i kraciatą koszulę. Tata w jednej ręce dzierzył stos gazet, a w drugiej okulary, których używał do czytania.

– O, jakie ryby! – wykrzyknął radośnie, zupełnie jak mały chłopiec. – Skąd je macie? Pokaż, Krzysiu.

Krzysiek w milczeniu podniósł siatkę, jednocześnie próbując uczynić wędkę, którą trzymał za plecami, jak najmniej widoczną. Co prawda bezskutecznie, ale chwala mu i za to.

Mama oderwała się od przecierania serwisu i uśmiechnięta popatrzyła na nas. Miała już na sobie swoją ulubioną bluzkę i czarną spódniczkę. Miodowe włosy były spięte w wyszukany węzeł. Całości chwilowo dopełniał granatowy fartuszek ozdobiony błękitnymi lamówkami (produkcja rodzinna, dzieło babcinych rąk).

Nawet pani Renata przestała zamezczać Łukaszka pytaniami, „jakiego kololu ma śnulówecki psy bucikach”, i zaszczyliła zdumionym spojrzeniem rybie zwłoki.

– Popać, cio ma Ksyś w siatce! – zawołała cała w uśmiechach.

– Rybkę – odpowiedział dzieciak poważnie.

– Rzeczywiście wspaniałe ryby – powiedziała mama z dziwnym uśmiechem, który pojawił się na jej ustach, gdy przysłuchiwała się pani Renacie i Łukaszкови. – Zupełnie ich nie zauważyłam, przepraszam.

Kątem oka zobaczyłam, jak mój brat baranieje.

– Zaraz, zaraz – gorączkował się tata – opowiadaj, na co je złowiłeś?

– Na robaki... – odparł Krzyś ciągle oszołomiony.

– Tak myślałem. Co robak, to robak. Ryba woli robala, a nie jakieś tam płatki, sery czy porzeczeki. – Tata skrzywił się.

– Taką mam teorię – obwieścił wszystkim zebranym w kuchni. – Dużo było brań?

– Najpierw w ogóle, a potem wyciągałem jedną za drugą. Co zarzuciłem, to miałem branie, no i rybę – mówił Krzysiek pewnym głosem, wymachując tacie przed nosem zakazaną wędką.